ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 28-go Stycznia 1897. Nr. 4.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Medalik Matki Boskiej Wspomożenia.

(Z życia ks. Jana Bosco.)

Pewnej soboty w maju 1868 roku młode dziewczę, z oczyma zawiązanemi czarną przepaską i wiedzione przez dwie kobiety, weszło do kościoła poświęconego Matce Boskiej Wspomożenia w Turynie. Nazywała się Marya Stardero i pochodziła ze wsi Vinovo; dotknięta silną chorobą oczu, tak dalece, że wzrok straciła, nie była wstanie chodzić; dla tego ciotka i jedna z sąsiadek towarzyszyły jej w pielgrzymce, którą pragnęła przedsięwziąć. Po modlitwie u Ołtarza Przenajświętszej Dziewicy, zażądała mówić z ks. Bosco, który zapytał:

— Od jak dawna cierpisz na oczy?

— Dawno już bardzo, jak choruję, ale od roku dopiero zaniewidziałam.

— Czy radziłaś się lekarzy? Cóż oni mówią? Czy używałaś jakich środków?

— Używaliśmy wszelkich lekarstw, odpowiedziała ciotka, ale żadnej nie sprawiły ulgi. Lekarze mówią, że oczy są zupełnie zepsute, i że nie ma żadnej nadziei. — I zaczęła płakać.

— A czy odróżniasz małe przedmioty od dużych?

— Ja nic nie widzę — odrzekła Marya.

— Zdejm tę przepaskę — przemówił znów ks. Bosco, i stawiając dziewczę naprzeciw okna, zapytał — a czy widzisz światło z tego okna?

— Nieszczęśliwa! nic nie widzę.

— A czy chciałabyś przejrzeć?

— Czyż potrzeba się o to pytać? Pragnę tego więcej niż czegokolwiek na świecie. Jestem biedna, i strata wzroku czyni mnie nieszczęśliwą na całe życie.

— A czy będziesz używała wzroku na dobro twojej duszy, a nie na obrazę Boga?

— Przyrzekam z całego serca, ale los mój jest bardzo smutny. — I wybuchnęła płaczem.

— Miej nadzieję w Najświętszej Pannie, a ona ci dopomoże.

— Ufam temu, ale tymczasem jestem ślepa.

— Zobaczysz — odpowiedział ks. Bosco.

— Lecz cóż zobaczę?

— Na chwałę bożą i błogosławionej Dziewicy Maryi nazwij przedmiot, który trzymam w ręku.

Młode dziewczę wysiliło wzrok, i utkwiwszy oczy w przedmiot, zawołało: »Widzę!«

— Co?

— Medalik!

— Z czyim obrazem?

— Z Matką Boską.

— A z drugiej strony medalika?

— Z tej strony staruszek z laską ukwieconą w ręku; to św. Józef.

— Najświętsza Panno, zawołała ciotka, toć ty widzisz!

— Widzę, widzę, o mój Boże to Matka Boska tę łaskę mi uczyniła.

I wyciągnęła w tej chwili rękę po medalik, który upadł w ciemny kąt za-

krystyi. Ciotka schyliła się, aby go podjąć, ale ks. Bosco powstrzymał ją, mówiąc: — Pozwól, dowiedzmy się, czy Najświętsza Panna otrzymała dla niej łaskę zupełnego przywrócenia wzroku. Dziewczyna znalazła medalik bez trudu. Wtedy, jakby zdjęta szałem, zaczyna wydawać okrzyki radości, nie rzekłszy słowa do nikogo, nie myśląc nawet podziękować Bogu, puściła się spiesznie do Vinovo, za nią ciotka i sąsiadka. Wkrótce wszakże powróciła złożyć dzięki Matce Chrystusowej, i przyniosła jakiś dar na Jej kościoł. Od tego czasu cieszyła się doskonałym wzrokiem i nigdy już nie cierpiała na oczy.

Szczególnem zdarzeniem ciotka, która jej towarzyszyła, została równocześnie uwolniona od gwałtownych bolów gośćcowych w ramieniu i w ręce prawej, na co cierpiała od bardzo dawna, i co ją czyniło niezdolną do wszelkiej pracy.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 28-go Stycznia 1897. Nr. 4.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent.) — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Ślązku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

DALEKO OD OJCZYZNY.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

II.

Kapitan Bitens był dzielnym marynarzem, doskonale umiał utrzymać w posłuszeństwie powierzonych sobie przestępców, wysłanych za karę na jednę z odległych wysp oceanu Spokojnego. Wiedział, jak sobie przyswoić ludzi wyjętych z pod prawa i zmusić do pracy, zyskał nawet ich zupełne zaufanie, lecz nie miał wyobrażenia, jak obchodzić się z chorą dziewczynką. Ocalona przysparzała mu kłopotu niemało, a jednak zajmował się nią z serdecznem uczuciem; przypominała mu ona własną jego córkę, którą dwa lata temu złożył w grobie wraz z żoną. I kapitan też czuł się osieroconym, bo najstarszego czternastoletniego syna odwiózł, zaraz po śmierci żony, na naukę do Europy; sierotka więc nabawiając kłopotu, rozjaśniała mu życie. Rozmyślał, co dalej z nią robić.

— Cóż robić? — powtarzał sobie bezustannie, a nadomiar jego troski, dziewczynka, przyszedłszy do przytomności, nie umiała dać żadnych wyjaśnień. Mówiła chwilami dużo, lecz mowy jej nikt nie rozumiał. Nie mógł nawet dowiedzieć się na pewno, ile ma lat, a tem mniej zkąd pochodzi, do jakiego należy narodu. Nazywano ją Mary, bo w wymienionem przez dziewczątko imieniu, najłatwiej było te dwie zgłoski rozróżnić.

Myśl o tem małym rozbitku zajmowała gorąco kapitana, chodziła za nim wszędzie; skoro tylko wrócił do swego domku, ustrojonego zielenią wśród skalistej wyspy, spieszył zaraz do pokoiku małej i spoglądał na spoczywającą lub przysłuchiwał się, czy nie wypowie jakiego zrozumiałego wyrazu.

Lecz dziecię spało cicho a gdy otworzyło oczy, zdawało się nie rozumieć, co się w koło niego dzieje. Bitens umieścił sierotkę w pokoju niegdyś swej żony i córki, tem więcej przypominała mu drogie istoty. Na widok małej serce marynarza topniało, jak wosk na słońcu.

Oglądał kilkakrotnie torebkę, powierzoną mu przez umierającą; torebka była zamknięta, sam nie wiedział, czy powinien ją był zostawić nietkniętą i oddać w przyszłości sierotce, czy też otworzyć. W tej niepewności wezwał rady ojca duchownego, który czuwał nad duszą skazanych przez prawo ludzkie przestępców.

Nie bez trudu prysnął silny zameczek, z torebki wysypało się kilkanaście sztuk złota w monecie francuzkiej i angielskiej, a wreszcie ukazał się spory zwitek papierów. Jeden z nich gruby, opatrzony pieczęcią, Bitens rozwinął i próbował czytać, napróżno jednak; głoski były mu znane, każdą mógł nazwać, złożyć jednak z nich nie umiał ani jednego zrozumiałego wyrazu. Podsunął

papier kapelanowi, lecz i temu nie lepiej się udało.

— Otóż ta torebka tyle nas objaśniła, co i chora, — rzekł Bitens.

Wtem przez okno doszło ich głośne westchnienie dziecięcia i jakby okrzyk zdziwienia.

Podążył zaraz kapitan do pokoiku.

Kapitan pochylił się nad dzieciną, która po długim śnie odzyskiwała siły. Twarzyczka z lekka zarumieniona nie miała już woskowej barwy; błękitne, szeroko otwarte oczy patrzyły ze zdziwieniem dokoła. Na widok obcych, twarzyczka dzieweczki wykrzywiła się boleśnie.

Spostrzegła twarze nieznane, ogorzałe, przemawiające niezrozumiałemi dźwiękami; — zaczęła więc płakać a na wszelkie pytania odpowiadała tylko łkaniem.

— Nie trzeba jej drażnić — rzekł kapitan — dziecię jest osłabione, a chciałbym je wrócić do życia; dodał z westchnieniem. I obadwaj z kapelanem zajęli się uspokojeniem małej, stosując wszelkie używane w takich razach środki.

Dziecię wkrótce na posłanie opadło, usteczka skrzywiły się do płaczu, lecz wycieńczone ciało nie miało dość siły na łzy ani uśmiechy.

Tymczasem po kilku godzinach dziecię wpadło znów w gorączkę, w której wymawiało ciągle niezrozumiałe dla otaczających wyrazy.

Kapitan z kapelanem zmieniali się w czuwaniu nad małą nieznajomą; Mary jednak słabe dawała oznaki życia. Raz, gdy kapitanowi zdawało się, że gorączka się zmniejsza i stał pochylony nad łóżeczkiem, uszu jego doleciał dźwięk pieśni, którą ktoś, tuż pod domkiem zanucił...

Twarz Bitensa rozjaśniła się.

— To on wraca, to on, ach, jak to dobrze, że się znów zjawił, szepnął do siebie i zwrócił się do wyjścia, znać na przywitanie oczekiwanego.

Wtem dźwięczniejszy jakiś wyraz pieśni wpadł przez otwarte okno, — Mary drgnęła, siadła na łóżeczku i krzyknęła przeraźliwie. — Otwarte oczęta spojrzały błędnie dokoła. — Zdawało się, że w tym jęku życie jej wraz z usłyszaną uleciało pieśnią.

Bitens porwał się za głowę, wybiegł przed dom i spojrzał dokoła.

— Gdzie Polly? On był tutaj? — zapytał nadchodzącego Uerego.

— I mnie się tak zdawało, bo słyszałem jednę z jego pieśni, której nikt inny śpiewać nie umiał.

— Szukać mi go natychmiast! — krzyknął kapitan.

Uery spełnił rozkaz; wybiegła nawet i Katy, którą także dźwięk pieśni z domu wywabił. Próżne jednak były poszukiwania: śpiewającego ani około domku, ani na wyspie nie znaleziono.

— Nie mógł przecież w ziemię się zapaść! — mówił zniecierpliwiony kapitan.

— Ale mógł odpłynąć, jak przypłynął, — inaczej nie dostałby się do nas; — rzekł Uery.

— Okręt żaden nie przepływa w pobliżu, — pomyślał kapitan.

— Może przypłynął z jakiej niezamieszkałej wysepki — poddał domysł Uery, — do niego to wszystko podobne!

Kapitan wzruszył tylko ramionami i rzekł, jakby ostatniego chwytając się środka:

— Bierz łódkę i szukaj.

Uery nie dał sobie dwa razy powtarzać; wkrótce maleńka łódź, zwana pospolicie łupiną, odbijała od brzegu.

Na morzu był spokój.

Od tej strony, gdzie wyspy nic nie zasłaniało, nigdzie jak sięgnąć okiem nie widać było okrętu, nawet ani łodzi. Z innych stron otoczona była lasem skalistych wysepek; niektóre tylko miały trochę dziko rosnącej trawy lub karłowate drzewa, inne sterczały smutno, dla tego też nie zaciekawiały nikogo i przez ludność karnej kolonii nie były prawie znane. Nie zniechęcało to jednak Uerego; wraz z zabranym towarzyszem przejeżdżał od jednej do drugiej, lecz nigdzie nie było śladu ludzkiego pobytu.

Po całodniowej wycieczce, żywiąc się na wędkę złowioną i upieczoną na wysepkach rybą, zgłodzony i znużony

miał już powracać, gdy wreszcie wśród grupy sterczących skał ujrzał oddzieloną od nich przesmykami jakąś wysepkę. Nie ominął jej. Przybiwszy, znalazł wśród mało dostępnego brzegu ukrytą prześliczną ziemię, której roślinność nęciła bogactwem kwiatów i najpyszniejszych owoców. Z przyjemnością, choć nie bez trudu, dostał się Uery wraz z towarzyszem na tę wyspę. Wyglądała ona jak najwspanialszy ogród, wśród którego na niewielkim kawałku falowała roślina podobna do trawy; zdawało się Ueremu, że ją już widział kiedyś... może w Europie.

— Acha! tu musi chyba mieszkać ten dziwak, zawołał uradowany.

Po niedługiem szukaniu, znalazł, wśród zagłębienia sterczącej jak baszta skały, ślady ludzkiego mieszkania, rzuconą matę i dzban niezgrabny do wody. Oczy Uerego zabłysły radością, — zerwał garść owej trawy i odpłynął na kolonią, od której jak się okazało wysepka ta zaledwie o kilkanaście kilometrów była oddaloną, — lecz tak ukrytą wśród wysp skalistych, że trudno ją było na razie znaleść.

— Nigdzie go niema, lecz oto wszystko, cośmy znaleźli, rzekł Uery, składając przed kapitanem swą zieloną zdobycz i opowiadając o piękności wyspy.

Kapitan przypatrzył się rzekomej trawie i rzekł:

— To pszenica, — europejska pszenica!

— I mnie się też zdawało, że ja to kiedyś, może w dzieciństwie jeszcze, widziałem; — rzekł Uery westchnąwszy.

— Tak, tak niechybnie, tam musiał być Polly, — on tak zawsze opowiadał o całych łanach kołyszącej się przenicy; mówił kapitan. — Ale on, gdzie jest? czemu do nas nie wraca? Biedny nieszczęśliwy dziwak! — dodał na poły do siebie, głośno zaś mówił:

— Uery, pojadę z tobą i obejrzę wyspę. Zabierz trochę żywności, potem ci ją dowozić będą; — pozostaniesz tam i dopilnujesz powrotu tego nieszczęśliwego.

III.

Lat temu pięć angielski parowiec, wiozący nową ludność do kolonii Bitensa, spotkał rozbity okręt francuzki na Atlantyku. Okręt ten pomocy już żadnej nie potrzebował; ludzie znać uratowali się lub zatonęli, nie zadawano więc sobie pracy, aby się do roztrzaskanego statku przybliżyć.

Nagle majtkowie ujrzeli falami podrzuconą deskę a na niej człowieka. Spuszczono więc łódź ratunkową, która przywiozła nieszczęśliwego. Nie dawał on znaków życia, słabe uderzenie serca ocaliło go od wrzucenia napowrót w morze.

Gdy po kilku tygodniach odzyskał przytomność, parowiec przepłynął już kanał Suezki, oddalając się od Europy. Uratowany, dowiedziawszy się o tem, smutnie spuścił głowę, rzekł coś do siebie i przyjął wieść z zupełną rezygnacyą, jak również i to, że go nie chciano zabrać napowrót i zostawiono na wyspie Bitensa. Mówił on po francuzku i po angielsku, nie przyznawał się jednak do żadnej z tych narodowości; zwał się Polly a wyjechał w celach naukowych, nazwisko jednak jego kraju nie było znane ani kapitanowi, ani załodze parowca, który go przywiózł, ani Bitensowi.

Cichy, łagodny i odważny Polly oddawał wielkie usługi Bitensowi, wywierając doskonały wpływ na osadników; lecz miewał on bardzo częste chwile zadumy: siadywał wtedy nad brzegiem wyspy, wpatrywał się w niezmierzone obszary oceanu, jak gdyby chciał je wzrokiem swoim przeniknąć... Gdy tak był zasłuchany w szum fali, próżno do niego przemawiano. — Nie słyszał on wtedy nic, a może też słyszał tylko dźwięki, które mu szum wody lub wiatry morskie przynosiły zdaleka, może rozmawiał z niewidzialnemi dla otaczających go duchami... Poruszały się tylko usta jego, jak gdyby się modlił. Zadumę tę kończył zwykle pieśnią, której wyrazów nikt z otaczających go nie rozumiał; roznosił ją ocean daleko — echo odbijało się wśród skał.

Nikt mu nie przerywał pieśni i zadumy. Nawet ci, których serca i ręce skalane były zbrodnią, za którą dostali się na wyspę, miękli na widok młodego jeszcze człowieka, który żył pośród nich tylko ciałem. Kapitan zaś Bitens, jego żona i dzieci kochali go jak przyjaciela. Po roku Polly rzekł do kapitana:

— Dobrzy jesteście dla mnie, chciałem z wami pozostać; ale mnie ogarnia tęsknota, nie mogę pędzić w świat. — Zapisane to widać nad moją kołyską, że tułać się muszę przez całe życie. — Kapitan zwrócił na niego wzrok zdziwiony.

— Pozwól mi przyjacielu, ciągnął dalej Polly, zabrać się na okręt przybyły z Sydney, tam lub może w innem mieście na Australii spotkam kogo, który mi nareszcie powie, co się dzieje z moimi; może łatwiej wieść jaką odbiorę. Daleko zostawiłem wszystko, com ukochał... żonę i dziecię, które jeszcze świata Bożego nie oglądało, gdym je opuszczał... Nie odebrałem od nich dotąd nigdzie wiadomości, lecz chcę raz jeszcze spróbować. — Żona, Harry i Bety, dzieci kapitana, nie mógły pogodzić się z tą myślą, żeby ich Polly opuścił, lecz Bitens rozumiał jego tęsknotę, wyciągnął więc dłoń i rzekł:

— Jedź, drogi przyjacielu, a gdy odbierzesz wieści o swoich, podziel się z nami radością; gdy ci za smutno będzie na Australii, gdy nie znajdziesz pracy na żadnym okręcie, powracaj, jakby do swojej rodziny.

Polly odjechał. (Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZYJACIELE.

Niemasz teraz prawdziwej przyjaźni na świecie;
Ostatni znam jej przykład w Oszmiańskim powiecie.
Tam żył Mieszek kum Leszka, i kum Mieszka Leszek,
Z tych, co to: gdzie ty, tam ja, co moje to twoje.
Mówiono o nich, że gdy znaleźli orzeszek,
Ziarnko dzielili na dwoje.
Słowem, tacy przyjaciele,
Jakich i wtenczas liczono nie wiele,
Rzekłbyś: dwójduch w jednem ciele.

O tej swojej przyjaźni raz w cieniu dąbrowy
Kiedy gadali, łącząc swoje czułe mowy
Do kukań zozul i krakań gawronich:
Alić ryknęło raptem coś koło nich.
Leszek na dąb; nuż po pniu skakać jak dzięciołek.
Mieszek tej sztuki nie umie,
Tylko wyciąga z dołu ręce: »Kumie!«
Kum już wylazł na wierzchołek.
Ledwie Mieszkowi był czas zmróżyć oczy,
Zbladnąć, paść na twarz: a już niedźwiedź kroczy,
Trafia na czoło, maca: jak trup leży;
Wnosi, że to nieboszczyk i że już nieświeży.
Więc mruknąwszy ze wzgardą, odwraca się w knieje,
Bo niedźwiedź Litwin miąs nieświeżych nie je.

Dopieroż Mieszek odżył... »Było z tobą krucho!
Woła kum, — szczęście Mieszku, że cię nie zadrapał!
Ale co on tak długo tam nad tobą sapał,
Jak gdyby coć miał powiadać na ucho?«
»Powiedział mi, rzekł Mieszek, przysłowie niedźwiedzie,
Że prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie.«

Adam Mickiewicz.

Ołtarz królowej Jadwigi w katedrze krakowskiej na Wawelu
z cudownym Panem Jezusem.

Miesiąc Styczeń roku 1386 był dla całej Polski, lecz szczególnie dla Krakowa czasem pełnym oczekiwania, ażali się uda niesłychane w dziejach świata zlanie dwóch narodów, Polski i Litwy, przez małżeństwo księcia litewskiego Ja-

giełły z młodziuchną królową polską, Jadwigą. Co więcej. Cały świat szczerze katolicki spoglądał wówczas pełen nadziei na Kraków, zkąd miało wytryz wszystkimi książętami litewskimi i całym swoim narodem wiarę chrześcijańską przyjąć ślubował.

Ciężkie to chwile dla królowej Ja-



Ołtarz królowej Jadwigi w katedrze Krakowskiej na Wawelu z cudownym P. Jezusem.

snąć światło prawdziwej wiary i oświecić cały naród litewski, dotąd jeszcze w pogaństwie pogrążony. Z chwilą bowiem, gdy królowa Jadwiga zgodzi się na poślubienie Jagiełły, tenże sam wraz

dwigi, bo już w dziecięcych latach przyrzekli ją rodzice, (jak to wówczas nieraz w zwyczaju bywało), Wilhelmowi, księciu rakuskiemu, który już zjechał do Krakowa i koniecznie z narzeczoną swoją

widzieć się domagał. Ona wzajem, ukochawszy przeznaczonego jej przez rodziców na małżonka, koniecznie rękę mu wraz z koroną polską oddać pragnie.

Lecz panowie polscy, chcąc zdobyć dla wiary św. miliony dusz, a dla Polski możnego sprzymierzeńca, proszą Jadwigi, ażeby przyjęła Jagiełłę na męża, a Wilhelma porzuciła. Mówią jej, jaką ogromną zasługę będzie miała wobec Boga za wyprowadzenie tylu dusz z mroków pogańskich; przedstawiają, jaką sławę w historyi a wdzięczność wielką całego narodu pozyska, gdy przez nią dwa narody w pokojowy sposób zleją się w jednę całość.

Jadwiga słucha, rozumem pojmuje wszystko, co jej mówią, lecz serce jej rwie się do Wilhelma, który tak blisko się znajduje, że potrzeba tylko wyjść z Wawelskiego zamku, aby się do niego dostać. Serce młodociane podsuwa jej myśl tajemnej ucieczki z zamku.

O zmroku przybywa do furty południowej zamku, która zwykle otworem stała. Teraz jednakże czuwa zbrojna toporem straż przy furcie, zamkniętej na ogromne kłodki.

»Zdziwiona niemi Jadwiga, — pisze Karol Szajnocha w pięknem dziele pod tytułem: Jadwiga i Jagiełło, — wstąpiła już na schody i kazała sobie otworzyć. Straż odparła: nie wolno. — Kto zabronił? — Panowie! — I mnie zabronią królowej? Podajcie topór! — Tak dalece zakaz nie sięgał: podano. Piętnastoletnia ręka najpiękniejszego onych lat dziecka pochwyciła żywo ciężkie narzędzie, wymierzając je przeciw kłodom. Kilka śmiałych uderzeń a najkosztowniejszy skarb zamku królewskiego nad Wisłą, skarb całej świetnej przyszłości kraju stracony był koronie.«

Zachował go wierny podskarbi koronny, Dymitr z Goraja, stary sługa dziada i ojca królowej, który nadbiegłszy ozwał się błagalnym głosem do wnuki i córki swoich panów, iżby odstąpiła zamysłu.

I Jadwiga odstąpiła a Dymitr odprowadził ją po schodach kamiennych obok baszty narożnej, jedynej dziś pamiątki tego wypadku, ku pałacowi. Odstąpiła, bo nie miała mocy, aby przemódz władzę panów. Posłuchała starca, lecz w sercu jeszcze tkwi tęsknota za narzeczonym. Biedne serce królowej to się godzi na wielką ofiarę, to oburza na panów. Coż począć?

W tej chwili sercowej rozterki zwraca się królowa do Tego, który koi wszelkie boleści i zsyła najlepsze natchnienia dla ludzi na rozstajnych drogach będących, skoro z ufnością do Niego się zwracają. Udaje się do kościoła Wawelskiego przed ołtarz, gdzie na srebrnem tle wisi na czarnym krzyżu postać Pana Jezusa, cudami słynącego. Pełna ufności dziecięcej klęka Jadwiga na stopniach ołtarza i otwiera swoje serce przed Bogiem, błagając: O Panie, Ty mnie natchnij, co mam uczynić!...

Długie chwile rozmyślania i walki w obliczu Boga przyniosły królowej upragnione postanowienie i spokój. Dla sprawy wiary św. i dobra Polski postanowiła Jadwiga oddać swoją rękę Jagielle.

Ołtarz, przed którym postanowienie w wielkie skutki nadzwyczaj doniosłe zapadło, przedstawiony jest na obrazku w dzisiejszem »Świetle.«

Ołtarz zmienił się od owych czasów zupełnie. Ten sam pozostał tylko czarny krucyfiks, piękne dzieło snycerskiej sztuki, który odcina się ostro od tła srebrnej blachy. Dawniej składał się ołtarz z trzech zamykających się części. Fundował go Mikołaj z Chorzelowa, kanonik krakowski. Każde ze skrzydeł dzieliło się na część górną i dolną; na jednem skrzydle od góry był wizerunek św. Jadwigi, księżny ślązkiej, od dołu św. Kunegundy, na drugiem zaś mieściły się wizerunki św. Brygidy i królowej Jadwigi.

Wspaniałe ozdoby ołtarza znikały z biegiem czasów, aż w końcu 18 wieku prócz krzyża i blachy srebrnej nic z dawnych świetności nie zostało. Ołtarz dzisiejszy fundował ks. kardynał Lipski w stylu pięknym i poważnym.

Ileż pokoleń zginało kolana przed tym cudownym wizerunkiem Zbawiciela!

W zakrystyi katedralnej była księga osobna, w której zapisywano coraz nowe cuda i łaski, jakich wierni doznawali, uciekając się do tego krzyża. Mnożyły się i mnożą ciągle srebrne i złote wota pobożnych.

Najcenniejszym jednak darem, jaki naród polski zawiesił u stóp tego krzyża, jest strzemię złote wielkiego wezyra Kara Mustafy, które król Jan Sobieski z pod Wiednia przysłał małżonce swojej na znak odniesionego zwycięztwa i które królowa zawiesiła u stóp krucyfiksu królowej Jadwigi. Strzemię to zginęło bez śladu w 18 wieku a odnalezione przed kilkudziesięciu laty, dostało się do muzeum w Krakowie. W dwusetną rocznicę zwycięstwa pod Wiedniem książę Władysław Czartoryski zwrócił je do rąk ks. kard. Dunajewskiego z przeznaczeniem, aby znowu jako wotum zawieszone zostało pod krzyżem.

O pochodzeniu krzyża królowej Jadwigi opowiada sobie lud, że w 13-tym wieku miały przypłynąć Wisłą trzy podobne ogromne krzyże; dwa znalazły miejsce w kościele Najświętszej Panny Maryi i to jeden, największy, na tęczy pod sklepieniem, drugi w ołtarzu na prawo od cyboryum na srebrnej blasze, trzeci zaś pozostał w katedrze Wawelskiej. Domyślają się, że ta legenda jest wskazówką, iż te trzy krzyże pochodzą z nadbałtyckich okolic, może z Gdańska, który był siedzibą średniowiecznego snycerstwa.

NAZWISKA LUDZI.

Nie możemy dziś pojąć człowieka bez nazwiska dziedzicznego t. j. przechodzącego z ojca na syna w formie niezmienionej. A jednak w całej Europie nazwiska takie upowszechniły się dopiero w wieku 15 a utrwaliły w następnym. Przedtem każdy wymieniał tylko swoje imię i miejsce, z którego pochodził. Litewski Mendog miał syna Olgierda, Olgierd Jagiełłę bez łączności nazwiska rodowego. Szlachcic obok imienia wymieniał herb, włość lub zamek dziedziczny. Naruszewicz w swojej historyi narodu polskiego powiada: »Starożytni Polacy nazywali się naprzód od herbów n. p. Ciołek, Jastrzębiec, powtóre od wiosek, np. Piotr z Chodzca, z Zakliczyna, po trzecie od imion ojcowskich, jak dotąd Rusini np. Jan Janowicz, Witek Bieniewicz t. j. syn Bieniasza (Benedykta)*). Herb czyli po polsku »zawołanie« t. j. hasło, znak, wyraz, zwołujący ród herbowy na wojnę, był oczywiście dziedzicznym i u szlachty średniowiecznej mógł do pewnego stopnia zastąpić rodowe nazwisko. Stąd nazwy wielu herbów stały się nazwami wielu rodów i wielu wsi, które były tych rodów gniazdem i dziedzictwem. Do takich należą: Bogoria, Jastrzębiec, Działosza, Przyrowa, Łada, Dąbrowa, Godzięba, Sulima, Szeliga, Rawicz, Rogala, Dołęga, Doliwa, Cholewa, Skuba, Gerałt, Kossak, Bujno, Kownat, Nieczuja, Radwan, Pomian, Zaręba, Trzaska, Konopka, Grzymała, Turczyński, Puchała, Bolesta, Odrowąż, Zagłoba i kilkadziesiąt innych. Niektóre nazwiska rodowe potworzyły się ze starodawnych imion polsko-słowiańskich, np. Chwalibóg, Wszebor, Sędzimir, Bożym, Dzierżek, Włodek, Bohufał, Gniewosz, Strzębosz, Niemiera, Wojsław, Wojno. Obok wyrazu, nazwisko, do którego przywięzujemy dziś przymiot dziedziczności, mamy w naszym języku przydomek oraz przezwiska, wyrazy może starsze od »nazwiska« i powszechnie przez lud używane. Przedstawiają one praktyczny początek każdego miana, którym jest przezwa jednego człowieka przez ogół mu danym wyrazem. Bywa to

*) U narodów germańskich nazwisko syna tworzono przez dodanie do imienia ojca końcówki *sohn*, *son*, *sen*, u Hiszpanów *ez*, u Normandów *fitz* (na początku), u Irlandczyków *O (Or)*, u Szkotów *Mac*, u Arabów i Hebrajczyków *ben*, u nas *wicz*.

zwykle określenie jakiegoś wybitniejszego jego przymiotu, wady, cechy, kalectwa, pochodzenia, rzemiosła, dziwactwa, przyzwyczajenia lub ubioru. Bolesława I z powodu niesłychanej waleczności przezwano Chrobrym (jest już tak nazwany w roku 1120). Bolesław III, który był również walecznym jego pra-prawnukiem, ale od wrzodu miał w młodości skrzywione usta, nazwano Krzywoustym. Henryka, księcia ślązkiego, z powodu, że nosił brodę, gdy inni piastowicze brody golili, przezwano Brodatym. Bolesław, drugi z kolei syn Krzywoustego, był Kędzierzawy. Z dwóch Władysławów, jeden był dla wielkiego wzrostu i długich nóg, Laskonogi, a drugi małej postaci przezwany został Łokietkiem. Przezwiska dawano w Polsce zarówno książętom jak dygnitarzom, szlachcie, kmieciom i najuboższym sługom. Dla tych, którzy nie mieli herbów, ani dziedzicznej ziemi, przezwiska były potrzebą praktyczną życia codziennego, a w czasach, w których zwyczaj ogólny miał moc prawa, nic dziwnego, że przezwiska ludzi zapisywano w urzędowych dokumentach jako ich nazwy. Najstarsze podobne nazwy z dokumentów polskich 11, 12 i 13 wieku są: Babka, Baran, Bacz, Biesiekierz, Brzuchaty, Byczek, Białowąs, Dąbek, Górka, Gąska, Graza, Jajko, Jęzor, Kaczka, Kwasek, Kwiatek, Kwiecik, Kłobuczek, Kłos, Kobyłka, Komor, Kołacz, Kochan, Kramoła, Krasek, Krzykała, Kędziera, Masło, Miedźwiedź, Myszka, Męka, Nowosiodł, Odolan (Otto), Opoka, Patoka, Piwona, Piskorz, Podwała, Polanin, Poniat, Piast, Pirwosz, Pomian, Pękawka, Rak, Rozdział, Ratej, Rożek, Swojsa, Sinoch, Śmił, Smogor, Sokoł, Stróż, Silca, Targosza, Wilczek, Wilczęta, Wojno, Warga, Wierzbięta, Wyszetrop, Żałoba, Żelazo, Żerucha, Żwan, Żuk, Zabor, Zabrat, Zając, Zajączek, Zajączko, Zator. Przy niektórych nazwach położone są imiona, co wskazuje, że nazwy te mogły już być dziedzicznemi lub służyć wspólnie braciom. np.: Paweł Górka (1243), Stanisław Kopyto (1243), Jakób Koryto (1246), Sulisław Mądry (1249), Świętosław Opór (1295), Jan Osina (1250), Otton Prawota (1219), Jakob Rudek (1271), Władysław Sędziwój (1209), Jan Woda (1250), Piotr zwany Wścieklica (1291), Radwan Ząb (1249). Innych zapisywano z nazwy lub imienia ojca, np. Paweł Stupowicz (1247), Andrzej Sułkowicz (1238), Dobiesław Sędowicz (1278), Piotr Włostowicz (1200), Mieszko Władysławowicz (1200). Długosz podaje, że w Polsce za czasów Władysława Jagiełły nastał zwyczaj tworzenia nazwisk od posiadłości, t. j. przez dodanie końcówki przymiotnikowej **ski** lub **cki**. Zwyczaj ten upowszechnił się w drugiej połowie 15 wieku, naprzód u średniej szlachty, bo panowie pisali się jeszcze po staremu: Łukasz z Górki, Jan na Tęczynie i t. p. Nazwiska atoli na **ski** i **cki**, tworzone już i w 14 wieku z nazwy wsi rodzinnej lub dziedzicznej, były z początku o tyle tylko dziedziczne, o ile syn dziedziczył po ojcu tę samą wieś, z której powstało ich nazwisko. Jeżeli zaś odziedziczył i osiadł w innej, to i nazwisko nowe tworzył, a tak zdarzało się, że każdy w innej wsi zamieszkały, synowie i ojciec, każdy innego używał nazwiska.

Przykład zmiany nazwiska mamy na kronikarzu Marcinie Bielskim (urodz. 1495, zmarł 1575 roku), pierwszym, który dla narodu swego pisał dzieje powszechne po polsku. Po ojcu Marcin, nazywał się Wolski, od wsi Woli, ale gdy osiadł we wsi Biała, koło Pajęczna, został Bielskim, a syn jego Joachim już zatrzymał to nazwisko ojcowskie. Paprocki w swoim herbarzu polskim powiada, że gdy Bartosz Remar kupił wieś Wilkowice, synowie jego zostali Wilkowskimi.

O LISIE.

Lis (Canis vulpes) różni się od innych psów ukośnem okiem z podłużną źrenicą, długim spiczastym pyskiem i krótkiemi nogami; ztąd ciało jego wydaje się być dłuższem, a puszysty ogon wlecze się po ziemi. Barwa sierci na wierzchu i na zewnętrznej stronie nóg jest żółtawo-czerwona, spodnia część ciała, podbródek, podgardle i wewnętrza strona nóg, białe; ogon (kita) na wierzchu brunatno czerwony, pod spodem żółty, na końcu po większej części biały. Zabarwienie to zresztą podlega różnym odmianom; zdarzają się naprzykład lisy z czarnem podgardlem i brzuchem; niekiedy zupełnie czarne lub białe, ale bardzo rzadko. Zwykły czerwony lis, w licznych swych miejscowych odmianach znajduje się na całej kuli ziemskiej i uważany jest za zwierzę dające dobre i nieraz bardzo cenne futro. Niemcy dostarczają corocznie około stu tysięcy skórek lisich, najpiękniejsze jednak pochodzą z Norwegii i z Labradoru. Większą jeszcze przedstawiające wartość, bo dochodzące ceny 120 marek za sztukę, gdy skórka pospolitego lisa ceni się po 4 do 5 marek, pochodzą z północnej Laponii i Syberyi pod nazwą »Krzyżaków«; mają one ciemną pręgę na grzbiecie i takąż poprzeczną na łopatkach. Najcenniejszego futra dostarcza czarny i srebrzysty lis z najbardziej ku północy wysuniętych krajów Ameryki północnej, którego czarny włos na końcu jest srebrzysty.

Lis jest najchytrzejszem ze wszystkich drapieżnych zwierząt; przebiegłość jego weszła w przysłowie. Mistrz we wszystkich sztukach chytrości i podstępu, nawet w najtrudniejszych okolicznościach umie się wywinąć i pomimo ciągłego prześladowania jakiego jest przedmiotem, znajduje się zawsze w wielkiej liczbie i trudny jest do wytępienia. Przebiegłość uwydatnia się już w małych lisiętach.

W początkach miesiąca Maja można znaleść w norze pięć do dziewięciu małych, jeszcze ślepych, wielkości szczura, czarnych, z grubemi pyszczkami lisiąt, które matka starannie pielęgnuje. Po kilku tygodniach, wyprowadza z nory teraz już żółte szczenięta, bawi się i igra z niemi, przynosi im ptaszki, jaszczurki, żaby, chrząszcze, koniki polne, myszy, młode zajączki i uczy je łowić i pożerać tę zdobycz; samiec zaś wcale się rodziną nie zajmuje. Gdy dorosną do połowy wielkości kota, wtedy lubią zrana i wieczorem leżeć przy wejściu do nory, oczekując powrotu rodziców. Nie tak to łatwo udaje się podpatrzeć igraszki lisiej rodziny. Samica jest nadzwyczaj czujna i za najmniejszym podejrzanym szelestem kryje się do nory, znosząc szczenięta w pysku, albo zwołuje je cichem skomleniem. Już w Lipcu małe lisięta odważają się na samodzielne wyprawy i starają się o zmroku schwytać zajączka lub wiewiórkę, napaść w gnieździe na jarząbka lub kuropatwę, albo choćby tylko przepiórkę albo mysz; najmniejsze poprzestają na robakach lub świerszczach. Zachowują się wtedy zupełnie na podobieństwo starych. Długi, spiczasty pyszczek pilnie wietrzy po tropie, delikatne uszki podniesione są do góry małe, szaro-zielone, ukośne, iskrzące oczki bystro patrzą dokoła; miękka, puszysta kita wlecze się za śladem cicho stąpających łapek. Czasem młode łowne zwierzę przedniemi łapkami staje na kamieniu i rozgląda się dokoła; czasem przypada w krzaku oczekując powrotu gnieżdżących się ptaków, czasem podstępnie udaje obojętny spokój, pilnując krzątania się myszy. W jesieni opuszczają młode macierzystą norę i pędzą życie pojedynczo, we własnych norach. Nora ta urządzona jest w sposób zdradzający przewidywanie, gdyż oprócz kanału, prowadzącego do gniazda, posiada jeszcze jedno lub dwa ujścia, któremi ten łotrzyk niepostrzerzenie się wymyka.

Kanały te połączone są z sobą poprzecznemi przekopami i w rozmaitych miejscach mają wyloty na zewnątrz.



LIS.

Nora służy lisowi za schronienie w czasie niepogody wielkiego mrozu, lub upału w lecie; w czasie sprzyjającej pogody znajduje się ciągle na wędrówce, gdyż wszędzie w gęstwinie, w sitowiu, w zbożu, znajdzie wygodne miejsce do odpoczynku. Obojętny i nieszkodliwy na pozór, przebiega drobnym krokiem, ale tem niebezpieczniejszym jest rabusiem, że nigdy nie zapomina o własnem bezpieczeństwie. Woli raczej wyrzec się ponętnego łupu niż narażać własną skórę, skoro się w nim zrodzi podejrzenie zasadzki. Dopiero gdy się czuje zupełnie bezpiecznym, nie okazuje bojaźni i wtedy natura rabusia występuje w nim w całej pełni. Śmiało w biały dzień wpada do kurnika, porywa kurę i uchodzi ze zdobyczą, nie wiele dbając o ścigające go psy wioskowe, gdyż ma tysiączne sposoby ukrycia się przed ich pogonią.

Opatrzność Boska czuwa.

Opowiadanie z czasów ostatniego prześladowania chrześcian w górach Libanon.

I.

Było to 30 Maja roku 1860, gdy dwie niewiasty siedząc przy wąskiem oknie małego domku w mieście Saidzie, zajęte były haftowaniem. Starsza z nich, wdowa pięćdziesięcioletnia, miała już siwą głowę a na twarzy poważnej widniał smutek. Obok niej siedziała dziewczynka czternastoletnia, której oczy często od roboty się odrywały i wyglądały przez okno na ulicę. Naraz wdowa podniosła głowę i spojrzała na figurę Matki Boskiej, stojącą na ołtarzyku domowym między kwiatami i świecami. Przez pewną chwilę spoczywał wzrok na figurze a blade wargi szeptały modlitwę. Potem odezwała się:

— Judyto, znowu nie pamiętałaś nalać oleju do lampki przed figurą Matki Boskiej.

— Ach, matko, przebaczcie! — zawołało dziewczę i powstawszy z siedzenia wydobyło z małej szafki z ciemnego drzewa cedrowego kształtny dzbanek z olejem, aby go nalać do lampki, zawieszonej przed figurą Matki Boskiej. Potem znowu usiadło, spojrzawszy na matkę kłopotliwym wzrokiem, jakoby się obawiało, że matka jeszcze raz ją zgani.

Wdowa zaś odezwała się w te słowa:

— Domyślam się Judyto, dla czego tak na mnie spojrzałaś. Spodziewasz się, że ci się spytam, czy lampie twego serca nie brak oleju. Nie wiem, czy w tym roku Matka Boska jest z ciebie tak zadowolona, jak zeszłego roku. Wówczas bowiem pracowałaś i modliłaś się przez cały Maj tak pilnie, iż to było uciechą i pociechą dla mnie. Teraz zaś jesteś roztargniona i co chwilę wyglądasz przez okno lub gawędzisz z sąsiadkami przy studni.

— Ależ mateczko, — odpowiedziała Judyta nieśmiało, — przecie nie jestto rzeczą zdrożną, dopytywać się o wiadomości o prześladowaniu chrześcian w okolicach Libanonu.

— Zaiste zdrożną rzeczą to nie jest, — odpowiedziała matka, — lecz skoro tak smutne wiadomości nadejdą, jak dzisiaj, natenczas tem pilniej powinnaś się modlić, aby Bóg nad tobą czuwał a biednym prześladowanym w godzinę śmierci był na pomocy. Lecz twój brat Maron także podobnie sobie postępuje, jak ty. Zamiast z nami nabożeństwo majowe odprawiać, biega całemi godzinami z owym młodym Turkiem. Nie wiem, czy to będzie miało dobre skutki dla niego.

Judyta chciała właśnie stanąć w obronie brata, gdy nagle drzwi się otwarły i do izby wpadł szesnastoletni młodzieniec. Był zgrabny i silny. Włosy jasne spadały mu aż na kark. Był

ubrany w szerokie spodnie, pod kolanem związane, w wyszywaną kurtkę z szerokimi rękawami, a szeroką chustkę przepasywał się w pasie; na głowie miał mały, biały turban, jaki Turcy noszą. Krzyżyk złoty na szyi był dowodem, że młodzieniec jest chrześcianinem.

Twarz miał zaczerwienioną a niebieskie oczy gorzały, gdy podbiegł ku matce i zawołał:

— Matko, przed bramą miasta zabili jednego chrześcianina.

Obie kobiety przeraziły się wielce na te słowa.

— Kogo zamordowali? Kto ci o tem powiedział?

— Sam na własne oczy widziałem — odpowiedział Maron. Ali i ja wyszliśmy przed bramę miasta. Wtem zobaczyliśmy pewnego chrześcianina w podartem odzieniu, jak szedł drogą. Kilku Turków zobaczywszy go, uznali że uieka z Libanonu i zaczęli wołać: Zabić tego psa chrześciańskiego! Zabić wszystkich chrześcian! Potem rzucili się na biednego starca i tak długo bili go po głowie kijami, aż padł krwią oblany bez przytomności na ziemię. Ach, jaki mnie gniew ogarnął! Już podnosiłem kamień, ażeby nim okrutników rzucić, lecz Ali pociągnął mnie za ramię i odprowadził, inaczej byliby i mnie zamordowali.

— Bogu dzięki, synu, — rzekła na to wdowa, — że uciekłeś i dzięki również twojemu przyjacielowi, który ci przeszkodził dopuścić się zemsty. Lecz dla czego ty z nim tak wiele przestajesz? Przecież wiesz, że on niewierny a ojciec jego jest najwyższym duchownym Turków w mieście i śmiertelnym wrogiem chrześcian. Brat jego, Hakem, jest sprzymierzeńcem Druzów, naszych prześladowców.

— Niewierny twoim przyjacielem? Gdyby to twój ojciec nieboszczyk słyszał, który padł pod nożami tych okrutników.

— Ali nie jest takim, jak inni, odpowiedział młodzieniec. On oburza się i potępia nienawiść Turków do chrześcian.

— Czyżby został chrześcianinem? — zapytała Judyta.

— Nie, dotąd nim nie został, ale jest szlachetnym człowiekiem, kocha i szanuje chrześcian, mianowicie francuskie Siostry Miłosierdzia, które tutaj pielęgnują wszystkich bez różnicy religii w chorobie i opiekują się w nędzy pozostającymi. Jestem przekonany, że z pewnością chrześcianinem zostanie.

Matka potrząsnęła głową; widziała ona, w jak wielkie niebezpieczeństwo podaje się syn jej, obcując często i w przyjaźni z Muzułmaninem. Lecz nic nie rzekła, albowiem się spodziewała, że wzrastające z dnia na dzień prześladowanie chrześcian przyjaźń syna jej z Alim przerwie.

Po chwili niejakiej rzekła:

— Judyto, zapal przed Matką Boską jeszcze dwie świece. Jutro jest ostatni dzień Maja; smutny to dzień, bo rocznica śmierci waszego ojca. Ponieważ i Maron jest obecny, odprawimy wspólnie majowe modlitwy; któż wie, czy jutro jeszcze razem będziemy i czy będziemy żyli.

Wszyscy troje zabierali się do modlitwy, gdy nagle usłyszeli przed drzwiami prędkie kroki i głos.

— To Ali! — zawołał Maron a potem zwracając się do matki, dodał: Matko, proszę was, abyście byli uprzejmi dla niego, On nam jest życzliwy i chce nas ratować, gdyby tego było potrzeba.

W tej chwili zapukano mocno do drzwi i po chwili wpadł Ali, młodzieniec siedemnastoletni w bogatym tureckim stroju. Był nadzwyczajnie blady i bardzo wzruszony. Nieco zakłopotany obecnością obu kobiet, których nie znał, pozdrowił zwyczajem tureckim, przykładając prawą rękę do czoła i mówił:

— Salem aleicum! Pokój niech będzie z wami! Przebaczcie, dobra pani, skoro przeszkadzam. Przychodzę was przestrzedz. Maron już wam pewnie powiedział, co się zdarzyło.

— Tak, młody panie, — odpowiedziała wdowa uprzejmie, — syn mój opowiedział, żeście go zasłonili od śmierci. Dziękuję wam za to z całej duszy.



ZIMOWI GOŚCIE.

— Nie dziękujcie mi za to, co było powinnością przyjaciela, — odrzekł na to Ali skromnie, — przychodzę was ostrzedz, abyście nie wychodzili z domu. Wściekłość Turków bowiem wybuchnęła; trzysta biednych Maronitów (chrześcian), którzy chcieli się do naszego miasta schronić, leży zamordowanych przed zachodnią bramą miejską.

— Wielki Boże! — zawołała matka, załamując ręce.

Ali opowiadał dalej:

— Gdy się rozstałem z Maronem, wróciłem jeszcze raz do bramy i zobaczyłem wielką gromadę chrześcian, mężów, kobiet i dzieci, nadchodzących od gór ku miastu. Było ich około trzystu. Ach, jaki to był widok! W podartych szatach, okryci potem i pyłem, wielu z poranionemi stopami, wlokli się ku miastu, szukając schronienia przed ścigającemi ich Druzami. Skoro się jednak do miasta zbliżyli, wypadła gromada Turków z bramy miasta i napadli na biednych, kłując ich nożami, i raniąc kamieniami. Jakże to straszliwy był widok! Już chciałem podbiedz do napastników i w imieniu ojca mojego nakazać, aby zaniechali mordu, lecz wtem usłyszałem ze środka walczących głos, którego nigdy w życiu nie zapomnę.

Tu Ali przerwał i zasłonił twarz rękami. Maron tymczasem pełen ciekawości, zapytał:

— Czyj głos usłyszałeś? Ali, na miłość Boską, mówże!

— Znany mi głos — mówił Ali, — wołał: Mordujcie tych psów chrześciańskich! Zabijajcie ich! Zabijcie ich wszystkich. Oni nas chcą zaprzedać Francuzom. Śmierć im! Droga każdego prawdziwego Turka do raju powinna być zlaną krwią chrześciańską.

Wtedy motłoch turecki zaryczał i rzucił się na bezbronnych. Toporami, nożami, szablami, nawet młotami zabijali słabych starców, kobiety i dzieci, wyłupiali im oczy, przerzynali okrutnie gardła i brzuchy i wyrywali im wnętrzności. Małe dzieci podnosili za nogę i siekierą precinali lub rozrywali ciałka tych niewiniątek. Ach, nigdy nie zapomnę tego, com tam widział i słyszał...

— Boże, mój Boże! — zawołała Judyta drżąc cała, — co się stanie z nami?

Maron zaś zapytał:

— Ali, czyż nikt a nikt nie pospieszył na ratunek chrześcian?

— Nikt! Gdy widziałem straszliwe morderstwa, pospieszyłem do oficera, mającego straż w bramie, prosząc go, aby stanął w obronie mordowanych. Lecz bez skutku; oficer wyśmiał się ze mnie i odpowiedział, że nie ma rozkazu, aby tak uczynił. Wprawdzie wyszedł z żołnierzami przed bramę, lecz tylko na to, aby się przyglądać rzezi. Wtem ktoś krzyknął na żołnierzy: Czemu stoicie nieczynnie? Żgajcie bagnetem każdego z psów chrześciańskich, któryby chciał uciec do miasta. I żołnierze usłuchali.

— Ali, — zawołał Maron pełen gniewu, ściskając pięści, — któż wydał taki rozkaz żołnierzom?

Ali zasłonił twarz rękami i odrzekł cichym głosem:

— Mój własny ojciec!

— Wasz ojciec? — krzyknęła wdowa i Judyta.

— Tak, mój własny ojciec. On też jest przyczyną rzezi, bo zachęcił tłumy do mordowania w imię proroka; on rozkazał żołnierzom mordować, on krzyczał i zaogniał mordujących, aż ostatnie dziecko zginęło, na dzidzie podniesione w górę...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TARGOWA PRZYGODA BARTOSZA.

POWIEŚĆ LUDOWA.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł Bartosz wchodząc do chałupy swego sąsiada Jędrzeja.

— Na wieki wieków! — odezwał się gospodarz i podał mu rękę na przywitanie. — Siadajcie na ławie i powiedźcie

mi, proszę, czyście wczoraj z miasteczka szczęśliwie powrócili; boście sobie nieźle u Szmulowej czubek gorzałką zalali. Czekałem ja na was dość długo, ile że mnie wasza o to prosiła; ale widząc że nie ma końca, wsiadłem na wóz, wrzasnąłem na moje chetki, i zostawiłem was przy kieliszku.

— Żeby was gęś kopła, Jędrzeju! wy nigdy nie dotrzymacie placu: zawsze się gładko wyniesiecie, gdy się człowiek w najlepszą zagada. Właśnie śmy się z Kubą sprzeczali, czy lepiej czynsz z roli płacić, czy też pańszczyznę, jak dotąd było, odrabiać. Ja jak wiecie sąsiedzie, byłem za pańszczyzną; bo to człowiek nie potrzebuje tak sobie głowy łamać, zkąd grosz wziąść; pcha robociznę jak może, a wymłóciwszy wiertelik, to się przyda na kwartę soli. Nie potrzeba było tyle zabiegu; jeżeli przybrakło na przedeżniwku, lub co z bydełka wypadło, to się poszło z miechem do dwora: ale teraz kto mnie poratuje?

— Wy zawsze swoją piosnkę śpiewacie, Bartoszu, choć was już tysiąc razy przekonałem, że to próżna gadanina, którą niedołężni gospodarze swoje lenistwo, nierozum, a co gorsza, szkodliwy nałóg pijaństwa pokryć usiłują. Jakto? to wy wolicie, jak ów wół, który ciągle dla człowieka w jarzmie chodzi, na kogo innego, niż na siebie pracować? Czyż chcecie być w tej mierze koniecznie podobni do nierozumnego bydlęcia?

— Ej, co mi tam do bydlęcia! wszakże mój ojciec, dziad i pradziad, nie byli bydlęta, a dobrze im tak było; chwalili sobie dawne czasy; teraz wszystko do góry nogami przewrócone, i dla tego też taka bieda, żeby jej siekierą nie uciął.

— Jak trudno jest trafić do końca z człowiekiem ciemnym, przesądnym, a do tego upartym: ksiądz swoje, djabeł swoje.

— No, no! wyście zawsze aż do znudzenia przemądrzali, gdy zaczniecie o tej niemiłej materyi rozprawiać. Dajcie temu pokój, bo mnie już dalibóg korci; oto pożyczcie mi na jutro gratu do koszenia owsa; a posłuchajcie mojej wczorajszej przygody:

Owóż tedy utyskując na ciężkie czasy, zwłaszcza gdy już św. Marcin za pasem, a tu znikąd wziąść grosza, aż człowiek w głowę zachodzi; bo jak wiecie, mnie się pieniądz nie trzyma, wszystko się rozlezie. Kazałem dać półkwaterek wódki; poczciwe Kubasisko rozczuliło się, kazało dać drugi, ja trzeci. Wychodzę nareszcie ostatni z szynkowni, chcę siadać na wóz, wytrzeszczam oczy, bo mi się w głowie wszystko kręciło; nic nie widzę. Domyśliłem się zaraz, że moje zniecierpliwione szkapska, jak zwyczajnie, same do domu ruszyły. Cóż było robić? musiałem, choć mi głowa ciężyła, ba! i nogi nie statkowały, wracać pieszo do domu. Już tego wreszcie nie baczę, co się ze mną stało; pomnę tylko jak gdyby we śnie, że gdym się z trudnością dobił do rozstajnych dróg koło mostku, ten mi całkiem znikł z oczu, szukam, biedolę się, aż tu woda jakoś coraz bardziej przybiera; ani podobna przejść. Pomyślałem sobie, (Boże odpuść ciężkie grzechy), żeby cię trzysta kaduków porwało i z mostkiem, aż tu, ni ztąd ni z owąd, postrzegam w rogatym kapeluszu blisko mnie stojącego k u s i e l c a.

»Dobry wieczór, kumotrze« rzekł do mnie nieznajomy; »co porabiacie? cóż wam to? czego się tak w kudły drapiecie?«

»Dobry wieczór waszeci« odemknąłem; domyślałem się bowiem, co to za sztuczka, zwłaszcza że nie pochwalił Pana Boga; alem się go nie zląkł bynajmniej; księżyc świecił pięknie, i ja, jak wiecie, kiedym podochocony, nie dam sobie lada komu w kaszę dmuchać. Jednakże pomyślałem sobie po chwili: lepiej będzie dać mu dobre słowo; bo mnie tak poczciwe tatusisko, Boże świeć nad jego duszą! nauczyło: żeby być potulnym, nie brać nigdy na kieł, chyba, gdy do ostatniego przyjdzie, a wszakże lada urwisz może człowiekowi dopiąć, gdzie się ani spodzieje. Owoż tedy, dodałem spokojnie: »a jakże się nie mam frasować, kiedy moje poczciwe kobieci-

sko, już dawno mnie wygląda, a tu przeklęty mostek znikł jako dym; żeby go trzysta djabłów wzięło!« Rozśmiał się mój kusal na to moje nabożeństwo, i nabierając, jak się zdawało, lepszej ochoty, rzekł do mnie:

»Nu kumotrze, jeżeli tylko o to idzie, to ja was przeniosę.«

W to mi graj, myślę sobie; tego mi właśnie było potrzeba. To jakieś poczciwe djablisko; zapewne nie wie jeszcze, żem mu przedwczoraj rożki u figury za naszą karczmą biczyskiem poutrącał; nie wydawajmy się z tego.

»No, jeżeli wielmożny pan chcesz być tak łaskaw, i nie żartujesz z biednego człowieka, który na nieszczęście, dzisiaj sobie trochę za wiele zalał swoję mózgownicę.«

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

* **Powiat,** wyraz w języku polskim bardzo stary, pochodzi od wyrazu wiec i oznaczał pierwotnie taki okręg, opole, obwód, okolicę, której mieszkańcy odbywali wspólne wiece czyli byli zwoływani, powiadamiani o takowych. Jeszcze cesarz niemiecki Henryk II objeżdżał poddanych sobie Słowian po powiatach i odbywał z nimi wiece. Powiaty słowiańskie łączyły się w ziemie *(terrae, comitatus)*, a ziemie w księstwa albo królestwa. Obraz tego widzimy zarówno w całej zachodniej Słowiańszczyźnie, jak i w Polsce, która nie posiadała jednolitego administracyjnego podziału. Nie mając bowiem rządów samowładnych, stósowała się wszędzie do miejscowych zwyczajów, potrzeb i pojęć. I tak województwa litewskie nie są podzielone na ziemie, ale na wielkie powiaty. Księstwo Żmudzkie na 28 traktów, które odpowiadają maleńkim powiatom mazowieckim. W Polsce niektóre województwa dzieliły się tylko na powiaty, np. Płockie na Mazowszu. Obok zaś Płockiego województwo Mazowieckie składało się z 10-ciu ziem. Z tych n. p. ziemia Łomżyńska obejmowała w sobie 4 powiaty, ziemia Wizka 3 powiaty maleńkie. Powiat był okręgiem władzy starościńskiej, okręgiem policyjnym, podatkowym i sądowym. Mógł mieć oddzielne sejmiki, sądy ziemskie i oddzielnych urzędników ziemskich. Ale nie uważano tego za normę, i gdzie powiaty były zbyt małe, okręgiem takim była ziemia. Za to każdy powiat miał swoją hierarchię urzędników ziemskich, zkąd pochodziło, że nieraz brakło w małym powiecie kandydatów na urzędy. Powiatom odpowiadały dawne Opola, o których pierwszy pisał wyczerpująco prof. Józef Przyborowski. Powietnikami zowią się obywatele jednego powiatu.

* **Znaczenie brody u różnych narodów.** Hebrajczycy, czyli dawni żydzi, wysoko cenili brodę, jako ozdobę twarzy i poczytywali sobie za największą zniewagę, jeżeli jej kto dotknął, który to zwyczaj i dotąd zachowali. U Rzymian, dzień, w którym młodzieniec golił się po raz pierwszy, obchodzony był nader uroczyście. Nero, okrutny cesarz rzymski, poświęcił bożkom pierwsze włosy, zdjęte brzytwą ze swojej twarzy, zamykając je w złotej szkatułce wysadzanej perłami. U Normandów, zapuszczenie brody oznaczało żałobę i niedolę. Wilhelm Zdobywca, opanowawszy Anglię, kazał mieszkańcom golić brody; niektórzy z nich woleli kraj opuścić, niż pozbawić się tyle cenionej ozdoby. U Kwadów, nie wolno było młodzieńcowi się golić, dopóki nie zabił nieprzyjaciela. Był czas, kiedy na znak żałoby i szacunku dla nieboszczyka — złocono sobie brody. Jeden z kronikarzy opowiada, że na pogrzebie Karola Zuchwałego, śmiertelny wróg jego, książę Lotaryngii uczcił zwłoki nieboszczyka, idąc ze złoconą brodą w żałobnym orszaku. W średnich wiekach istniał zwyczaj, że monarchowie przytwierdzając pieczęć, kładli w miękki wosk trzy włosy z brody, aby nadać przez to wielką wagę dokumentowi. Dawni królowie francuzcy niezmiernie dbali o piękną brodę, trefili ją też i przetykali złotemi nićmi. Na starych płaskorzeźbach perskich i asyryjskich widzimy monarchów z długiemi brodami, kunsztownie ufryzowanemi. Poddani naśladowali ich pod tym względem, niewolnikom tylko tych krajów nie wolno było nosić zarostu. U Egipcyan broda była godłem władzy najwyższej, nosili ją wyłącznie królowie; kształt jej był kwadratowy, rozmiary nader małe. Nawet królowa Hatasu wyobrażona jest na pomnikach z brodą, naturalnie przylepioną. Starożytni Grecy dopiero od czasów Aleksandra Wielkiego zaczęli golić brody; tylko filozofowie nie poddali się tej modzie. To samo było w Rzymie. Pierwotnie, wszyscy mężczyźni byli brodaci, później dopiero, około roku 300 przed Chrystusem, poszli w tym względzie za Grekami. Muzułmanie, jak turcy, brodę uważają za świętość, gdyż Mahomet ją nosił; niewolnikom tylko niewolno było jej zapuszczać. Pierwszym obowiązkiem gościnności u Turków jest namaszczenie brody gościa wonnościami. Maurowie, podczas składania przysięgi trzymają się za brodę, dla nadania przysiędze większej wagi. U niektórych narodów wschodnich powitanie polega na ucałowaniu brody.

FRASZKI.

* **Pozwał** do sądu jeden drugiego za to, że mu powiedział:

— Jesteś głupi, jak tabaka w rogu.

Przy tej zwadzie był obecny gospodarz, który wezwany do sądu na świadka, a niechcąc się narazić nikomu, takie dał zeznanie:

— Ja nie mogę świadczyć w tej sprawie, ponieważ tabaki nie zażywam, a więc wiedzieć nie mogę, czy jest ona w rogu głupia.

* **Pewien** jegomość, znany powszechnie z roztargnienia niepospolitego, był zaproszony na obiad do swego przyjaciela. Idąc zaś na obiad miał głowę zaprzątniętą chorobą swej żony i zdawało mu się, że jest na obiedzie u siebie. A ponieważ obiad nie bardzo był wyśmienity, wstaje tedy przy końcu i powiada:

— Przepraszam państwa za ten obiad gałgański, bo moja żona bardzo chora.

* **Chciał** raz na jarmarku żyd sprzedać chłopu konia ślepego, chromego i bez języka.

— A jakże mam go kupić, — rzecze chłop — kiedy ślepy?

— Ny, albo on czytać będzie?

— A kiedyż on i chromy.

— Albo on do wojska pójdzie?

— I języka nie ma jeszcze.

— Albo on to adwokat? na co mu język?

* **Kucharz** jeden piekąc dla pana gęś, zjadł od niej nogę. Pan spostrzegł na półmisku gęś bez nogi i kazał pytać kucharza, ale ten odpowiedział, że ta gęś miała tylko jedną nogę. Pan mówiąc, że to być nie mogło, surowo go złajał. Gdy potem byli raz w drodze, ujrzeli wiele gęsi na lodzie, a każda stała na jednej nodze, (bo gęś podnosi jedną nogę, dla zagrzania).

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Knoty do lamp.** Lampy naftowe jak wiemy bardzo często kopcą, wydając nie równy płomień; otóż nie można być zanadto wymagającym przy oprawianiu lamp. — Wprowadzony porządek w tym kierunku jest tu obowiązkiem nie tylko dobrego światła i przyjemności, ale nawet zdrowia. Chcąc aby płomień był zawsze równy, oprócz starannego oczyszczania lamp, trzeba nowe knoty przed wzięciem ich do użycia włożyć w mocny ocet, aby dobrze nim nasiąkł, następnie lekko tylko wycisnąwszy wysuszyć w cieple i dopiero używać. Dalej, zapalając lampę, bardzo mało ją wykręcić, a dopiero po kilku sekundach rozświecić, będzie się wtedy cały wieczór dobrze paliła.

— **Zagoić miejsce oparzone.** Potrzeba miejsce oparzone oblać bezzwłocznie dobrze słoną wodą, a następnie robić z takiej samej wody okłady. Najlepiej aby w każdym domu była we flaszce sól nalana wodą; jest to łatwa rzecz a bardzo skuteczna. W razie bólu gardła płukać je słoną wodą a ból prędko minie.

Podają także nowe, podobno bardzo skuteczne lekarstwo: powoli wodą selterską oblewać miejsce oparzone a ból wkrótce ustanie. Woda selterska zawiera dużo kwasu węglowego, który łagodzi cierpienie a zarazem nie dopuszcza jątrzenia się rany.

Rozmaitości.

* **Jubileusz parasola.** W r. b. stuletni jubileusz obchodzi w Niemczech parasol. Przed wprowadzeniem go kobiety używały chustek od deszczu. Potrzeba ochrony przed tym ostatnim, a łącznie z nią i próby wynalezienia sposobów ochronnych odległych sięgają czasów. Już w r. 800 ery naszej Alcuin z Tours rozkazał sporządzić przenośny daszek, osadzony na kiju, prototyp parasola, który w swoim czasie ogólny budził podziw i w darze był przesłany biskupowi Arno z Salcburgu na odległość 150 mil. O budowie i kształtach deszczochronów nie doszły do nas bliższe szczegóły, i widocznie zapomniano o nich zupełnie, skoro w XIV wieku jeszcze spotykamy tylko tak zwane kapelusze od deszczu, które dla łatwego ociekania wody kształt miały spiczasty i wąziutkie dokoła brzegi. Parasol taki, jaki obecnie używamy, po raz pierwszy dopiero przed stu laty wszedł w użycie.

* **Najdawniejszą receptę** odcyfrował niedawno pewien profesor angielski, z papyrusu egipskiego. Chodzi mianowicie o przepis wody, mającej własność działania na porost włosów: przepis, ofiarowany matce króla pierwszej dynastyi egipskiej, panującej na 4000 lat przed Chr. Oto brzmienie tej recepty: Nerek psich 1. Daktyli 1. Kopyt oślich 1. Gotować wszystko w oliwie, następnie pocierać tem silnie skórę. Przepis ten nie był zapewne gorszym od różnorodnych mikstur, wynalezionych znacznie później.

* **Najwyższy komin fabryczny w Niemczech.** W ostatnich czasach we Freiburgu w hucie zbudowany został komin o 4 metry wyższy od tego, który dotychczas był uważany za najwyższy; stoi on w Mechern. Komin Freiburski liczy 135 metrów wysokości; podstawę posiada kwadratową; każdy bok kwadratu zaś liczy 12 metrów. Do 25 m. wysokości zbudowany jest ze sztucznego, prasowanego kamienia w najlepszym, rozumie się, gatunku. Wewnętrzna średnica komina wynosi u góry $2^1/_2$, a u dołu $5^1/_5$ metra.

Gry dla starszych i młodzieży.

Obrączka czyli pierścionek.

Stają wszyscy kołem trzymając tasiemkę ze związanymi końcami i nawleczonym na nią pierścionkiem. Pierścionek przesuwają pokryjomu i czynią rękami takie ruchy, aby osoba będąca w kole i poszukująca pierścionka, nie mogła go łatwo odszukać. W czyim ręku pierścionek zostanie odkryty, ten daje fant i idzie do koła zastąpić szukającego. Podczas zabawy tej śpiewają:

Dalej, dalej, dalej,
By nas nie schwytali,
Tu jest, tu jej niema,
Ten puścił, ten trzyma.
Tutaj popasała,
Lecz już wyjechała,
Ach próżne staranie,
Nikt jej nie dostanie.
Była u sąsiada,
Lecz już nie posiada,
Puścił ją koleją,
Żegnaj się z nadzieją.
Nie strzelaj oczyma,
Niema lubej niema,
Tu jest, tu jej niema,
Ten puścił, ten trzyma.

Osoba w kole schwytawszy obrączkę, podśpiewuje:

Złapałem cię panno droga,
Nie bądź teraz taka sroga,
Będziesz teraz naszą sługą,
Będziesz w kole siedzieć długo.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.